MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 55. WARSZAWA, 31 GRUDNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

ODWIECZNY SPÓR

ROK stary kończy się niezwykle gorączkową działalnością dyplomatów wszystkich krajów Europy. Działalność ta przypomina pracę wiewiórki, biegającej w kole — trudno się w niej dopatrzeć jasnej, przewidującej myśli. Jest ona jednak pełna znaczenia — świadczy o przełomie, jaki się zapowiada w najistotniejszej treści życia politycznego Europy współczesnej.

Polityka powojenna naszego kontynentu płynęła pod znakiem „nowej moralności" międzynarodowej, „wiecznego" pokoju i jawnej dyplomacji. Kościołem tej nowej wiary i nowego życia politycznego była Liga Narodów, zrodzona w lożach masońskich i proklamowana światu przez „brata" Wilsona. Polityka ta poprowadziła państwa europejskie w ślepy zaułek. Niema już chyba nikogo, ktoby wątpił, że Liga Narodów zawiodła całkowicie pokładane w niej nadzieje, okazała się zupełnie niezdolną do rozwiązywania wielkich, istotnych zagadnień życia międzynarodowego. Jest dziś już tylko fikcją organizacji międzynarodowej, wszak są poza nią: Stany Zjednoczone, Rosja, Japonja, Niemcy, a szykują się do opuszczenia jej Włochy...

Są tacy, którzy powiedzą, że ludzkość nie dorosła jeszcze do oparcia swego życia na „nowej" moralności. Są inni, którzy twierdzą, że moralność ta jest oparta na fałszywej wierze, na błędach myśli i złej ocenie rzeczywistości. Należymy do tych ostatnich. Sądzimy, że polityka powojenna państw zwycięskich była jednem pasmem błędów, wynikających z fałszywych założeń, ze złudzeń i prymitywizmu myśli ludzi, kierujących tą polityką.

Największem zaś złudzeniem było mniemanie, że dopiero wiek XX „szczycić się" może dorobkiem myśli, wyrażającym się w pacyfizmie i jego wszystkich odgałęzieniach. Ta wiara i ten sposób myślenia są tak stare, jak istnienie państw i polityki. Trwa odwieczne nieporozumienie z tymi, co widzą ludzi i ich życie zbiorowe nie takiemi, jakiemi są, lecz takiemi, jakiemi by chcieli, ażeby były. Zmieniają się okresy życia ludzkości: w jednych przeważa jasne widzenie rzeczywistości, w innych zasłania tę rzeczywistość mgła złudzeń i błędów. Wiek XIX w Europie był wiekiem dojścia do władzy warstw, nie mających tradycyj i doświadczenia politycznego, a więc predysponowanych do brania złudzeń za rzeczywistość. To też zarówno w czasie wojny światowej, jak i po wojnie obracała się polityka w tej mgle złowróżebnej.

Dziś, gdy zaczynają się przebijać powoli i z trudem promienie słońca prawdy, trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że ludzkość nie cofa się, jak to skłonni są głosić moraliści lożowi, lecz przechodzi z jednego okresu swego życia zbiorowego w inny, tak jak to się wielokrotnie działo w przeszłości.

*

Sięgnijmy do doświadczeń tej przeszłości. Weźmą do ręki historję wojny peloponeskiej przez Tucydydesa, to dzieło wiecznie żywe, świeże, a przez to zawierające wiele nauk dla teraźniejszości. Pisał ją człowiek, żyjący w piątym wieku przed Chrystusem, a więc lat temu 2500. Okres to czasu

chyba dość długi z punktu widzenia ludzkiego, by ocenić granice niezmienności życia człowieka i jego myśli.

Tucydydes wyjaśnia w sposób bardzo realny istotną przyczynę wojny między Atenami a Spartą, wskazując na szybki rozwój potęgi ateńskiej i obawy Sparty, by Ateńczycy nie narzucili swej władzy wszystkim ludom Grecji, jednocześnie wszakże opisuje, jakie to motywy były wysuwane przez tę i tamtą stronę, jako wymagające wystąpienia skrajnego.

Historyk grecki przedstawia zgromadzenie przedstawicieli sojuszników Sparty i wkłada w usta mówców motywy, nakazujące wypowiedzieć wojnę Atenom, a są to motywy nawskroś polityczne, jednakowoż — powiada dalej — pozatem wysłanym do Aten nakazano wyłuszczyć „potężniejsze powody wojny“, a mianowicie żądać zadośćuczynienia od Ateńczyków za świętokradztwo popełnione wobec bogini (Ateny). Zarzucano Ateńczykom, że tolerowali u siebie rodziny tych, którzy popełnili morderstwo nad ludźmi, szukającymi schronienia na stopniach ołtarza bogini, co było uważane za świętokradztwo. Na to odpowiedzieli Ateńczycy, żądając od Spartan zadośćuczynienia za tolerancję, okazaną potomkom tych, co dokonali morderstwa w sanktuarjum świątyni, wznoszącej się na najwyższem wzgórzu Sparty.

Gdy się czyta szczegółowe przedstawienia tych pretensyj dwóch stron o tolerowanie świętokradztwa, gdy się widzi, że wojna, wywołana przez inne, realne i polityczne powody była uzasadniana motywami natury idealnej, bo religijnej, przypomina się żywo język dyplomacji współczesnej, pokrywającej wieczne i zrozumiałe motywy polityczne względami na „sprawiedliwość“, „miłość pokoju“ i interesy ludzkości.

Na kartach „Historji“ Tucydydesa spotykamy często to podwójne oblicze polityki. Włożywszy w usta przywódców ludu długie ustępy wywodów, pełnych górnolotnej frazeologji i powoływania się na względy „wyższej“ natury, odsłania Tucydydes w jednem, krótkiem zdaniu istotny sens sytuacji, jak naprzykład w księdze I-ej, gdy po przedstawieniu długiej dyskusji, powiada od siebie: „Lacedemończycy, decydując się na zerwanie traktatu i wypowiedzenie wojny, działali nietyle pod wpływem przemówień swych sprzymierzeńców, ile pod wpływem obawy, że Ateny staną się jeszcze potężniejsze“.

*

Jest w „Historji“ Tucydydesa, w jej księdze V-ej słynny djalog między Ateńczykami i Melijczykami, w którym historyk grecki wypowiedział otwarcie, a nawet brutalnie swój pogląd na istotę polityki.

Ateńczycy wysłali do mieszkańców wyspy Melos posłów, z misją przekonania ich, że powinni się dobrowolnie poddać władzy Aten. Posłowie ci nie powoływali się ani na prawo, ani na słuszność, ani na wolę bogów, lecz powiedzieli poprostu:

„Wykonajmy, zarówno my, jak i wy, to, co jest realnie możliwe, stosując się do przeświadczenia, które mamy zarówno my, jak macie wy, że, mówiąc po ludzku, niema innych praw, jak te, które nakłada konieczność; silni robią wszystko, co zrobić mogą, a słabi temu się poddają“.

Godzą się na taką podstawę dyskusji Melijczycy, nie próbują się powoływać na wolę bogów, ani na słuszność, ani na ludzkość, lecz, stojąc na terenie, wskazanym przez Ateńczyków, pragną tylko dowieść, że pozostawienie ich w spokoju leży nietylko w ich interesie, lecz także w interesie Ateńczyków:

„Ponieważ, porzucając zasady sprawiedliwości, żądacie od nas, byśmy byli posłuszni waszym interesom, my z kolei musimy, wskazując wam na to, co jest pożyteczne, usiłować przekonać was, że nasze interesy są także waszemi“.

Z tych wychodząc założeń, na tym terenie brutalnej rzeczywistości, z bezwzględną szczerością, snuje się dalej pasmo djalogu między Ateńczykami i Melijczykami, djalogu, w którym historyk odsłania istotne a głębokie sprężyny działań społeczności ludzkich. Są to sprężyny, wsparte na pierwotnych a niezmiennych instynktach i namiętnościach człowieka. Będą też czynne dopóty, dopóki nie ulegnie zmianie natura ludzka, ta sama, jak świadczy doświadczenie tysiącleci, w ciągu dotychczas znanych dziejów ludzkości.

Melijczycy nie dali się przekonać, nie chcieli się dobrowolnie poddać Ateńczykom. Ci ostatni rozpoczęli kroki wojenne i odnieśli ostatecznie zwycięstwo. Kończy się księga V zdaniem następującem:

„Ateńczycy zabili wszystkich młodzieńców, jakich zdołali ująć, zaś w stan niewolniczy przeznaczyli wszystkie kobiety i dzieci; a miasto zdobyte zaludnili, posyłając pięciuset kolonistów“.

Tak ilustruje historyk faktami rozwiązania teoretyczne. Z każdej karty jego dzieła wyziera nieubłagane życie i rządzące niem, niezmienne prawa. Z mistrzowstwem zaś kładzie on w usta postaci historycznych, lub anonimowych przedstawicieli ludu te pozory i złudzenia, które przysłaniają ludziom rzeczywistość.

*

Wracamy z czasów dawno minionych ku teraźniejszości i spotykamy się z tym samym odwiecznym sporem. Z jednej strony życie i jego prawa, z drugiej odbicie tego życia w umysłach ludzkich. Z jednej strony ci, co widzą jasno rzeczywistość, a władają dobrze wzrokiem i posługują się

rozumem; z drugiej ci, co zamknąwszy oczy na rzeczywistość, poddają się uczuciom, a wrażeniom pozwalają górować nad czynnością myśli.

Bankructwo Ligi Narodów, zapowiadające przełom w myśli i w życiu narodów europejskich, nie jest — w naszem mniemaniu — regresją w „postępie" ludzkości, lecz końcem okresu, w którym złudzenia zastępowały widzenie rzeczywistości, i zapowiedzią nadejścia czasów realizmu politycznego, w dobrem i ścisłem tego słowa znaczeniu.

STANISŁAW KOZICKI

NA POŻEGNANIE PRUS WSCHODNICH

Artykuł poniższy jest nie drukowanym nigdzie dotąd urywkiem książki Jędrzeja Giertycha, b. *attaché* konsularnego w Olsztynie p. t. „Za północnym kordonem (Prusy Wschodnie)", która w najbliższym czasie ukaże się na półkach księgarskich.

POWRACAM z Prus Wschodnich do Polski. Zostają w dali za plecami błękitne jeziora, obramowane ciemną gestwą lasów. Zostaje srebrzysta tafla zalewów, nad któremi rozsiadły się wioski i miasteczka, a między niemi dostojny, biskupi, na wzgórzach rozłożony Frombork. Zostaje wybrzeże morskie i gwarny, portowy Królewiec. I stary Elbląg. I warowny Malbork. I silnie polskością nasycony Olsztyn. I polskie dwory i pałace pod Sztumem. I polskie wioski — na całej przestrzeni od Nogatu aż po Suwalszczyznę. I ludzie widziani — Polacy, Niemcy, Filiponi, Litwini.

Myśl, pełna wspomnień, biega z przedmiotu na przedmiot, stara się jednym rzutem objąć całość życia tego kraju, oraz wszystkie osobiście w nim przeżyte chwile. I mimowoli zjawia się w umyśle — dążność do syntezy.

Jakież jest ogólne wrażenie? Przyjazne, czy obce, miłe, czy niemiłe, radosne, czy smutne?

*

Nie czujemy się tam w kraju obcym. Czujemy, że jakieś potężne, odwieczne, niewidzialne nici wiążą ten kraj z naszą ojczyzną i sprawiają, że jest on raczej jakgdyby jej przedsionkiem i przybudówką, niż budowlą, w stosunku do niej odrębną.. Na niektórych zaś jego obszarach: w ziemi Malborskiej, w Elblągu, na Warmji, na Mazurach czujemy się — poprostu u siebie.

To też, po pobycie nawet krótkim w tym kraju, czuje Polak, że przylgnął doń sercem. Niepodobna jest patrzeć na życie jego spojrzeniem chłodnem i badawczem, mimowoli nasza jego ocena zabarwia się odblaskiem gorącego i serdecznego uczucia, nadającego tej ocenie odcień subjektywny, zarazem wymagający i wyrozumiały, taki, jaki zawsze się zjawia, gdy patrzymy na coś, co uważamy za część naszej ojczyzny.

Nie nazbyt zresztą wiele znajdziemy w Prusach Wschodnich przejawów, dla nas radosnych. Czasem wprawdzie aż dech w piersiach zapiera z radości, gdy widzimy, jak mocna i tęga zachowała się polszczyzna, tak napozór odbiegłego od nas ewangelickiego Mazowsza. Z ciepłem i radosnem wzruszeniem oglądamy przejawy życia polskiego, zarówno pod strzechami chat, jak pod dachami dworów i pałaców w ziemi Malborskiej i na południowej Warmji — w skrawkach ziemi maleńkich, lecz jakże nazewnątrz odpornych. Z wiarą i nadzieją w przyszłość zapoznajemy się z polskim ruchem narodowym, z „Gazetą Olsztyńską", z „Mazurem", z bankami ludowemi, szkołami, stowarzyszeniami. Nie bez optymistycznych przewidywań również patrzymy na żywiołową penetrację ludnościową elementu polskiego w głąb Prus Wschodnich. Lecz — to wszystko.

Pozatem — rzuca nam się tutaj wszędzie w oczy i przytłacza nas — niemczyzna, niemczyzna, niemczyzna. Gdyby patrzeć na sprawę Prus Wchodnich bez perspektywy w czasie i w przestrzeni, należałoby powziąć przekonanie, że sprawa ta jest dla nas bezapelacyjnie przegrana.

A jednak...

A jednak sprawa ta trwa w stanie prawie niezmienionym od pięciu stuleci. Stworzona z myślą, iż będzie to jedynie prowizorjum, przez drugi pokój toruński w połowie wieku piętnastego, przetrwała ona burze kilku wieków i po okresie pozornie utrwalonego rozstrzygnięcia jej na naszą niekorzyść, wyłoniła się po wielkiej wojnie w swym niezmienionym prawie w niczem kształcie.

Cóż się od czasu pokoju toruńskiego w położeniu sprawy wschodnio-pruskiej zmieniło?

Prusy Wschodnie rozrosły się terytorjalnie, to prawda. Pochłonęły Warmję, ziemię Malborską i Elbląg, tracąc wzamian jedynie Działdowo. Ale czy ten przyrost terytorjum, ograniczający się do kilku powiatów, waży tak znów wiele na szali? Zwłaszcza, że zarówno na Warmji, jak w ziemi Malborskiej, zachowały się silne ogniska polskości, będącej tam nietylko tradycją historyczną, nietylko pokostem cywilizacyjnym, lecz żywą i żywotną komórką społeczną? Jedynie zniemczenie biskupstwa warmijskiego, które coprawda w okresie pokoju toruńskiego też było niemieckie i spolszczyło się dopiero później, lecz które stało się wkrótce dużą pozycją w naszem życiu narodowem, jest stratą dotkliwą i pozbawioną wszelkiej kompensaty. Lecz czy stratą bezpowrotną? Djecezja, do której należą rozległe obszary rdzennie polskie, która dotąd liczy śród swych wiernych dziesiątki tysięcy tubylczej, polskiej ludności, która dotąd musi uważać język polski za drugi język w swojej stałej pracy duszpasterskiej, nie może być przecie uznana za wykreśloną raz na zawsze z polskiego życia.

Germanizacja poczyniła w Prusach Wschodnich postępy,—to jest także prawda. Mazurszczyzna sięgała niegdyś dużo dalej na północ, niż dzisiaj, a i polszczyzna Malborska skurczyła się o pewne okręgi na wschodzie. Żywioł polski w Prusach Wschodnich skurczył się i zubożał społecznie. Szlachta mazurska zniemczyła się bez reszty. Wraz z germanizacją biskupstwa warmijskiego znikł z Warmji wyższy kler polski (trwają tam przy polskości tylko proboszczowie). Giną ostatnie resztki starego, rdzennie polskiego mieszczaństwa, owe

łyczki małomiasteczkowe na Mazurach, na Warmji i w ziemi Malborskiej. Jedynie garstka polskich ziemian pod Sztumem, oraz garstka chłopskich synów, którzy wyrośli na mieszczan i inteligentów, ratuje choćby tylko pozory złożoności społecznej żywiołu polskiego w ziemi wschodnio-pruskiej.

Ale czy to są straty tak istotne? Zapewne,— szkoda jest Węgoborka, Rastemborka, Dzierzgonia, gdzie jeszcze tak niedawno mowa polska rozbrzmiewała. Szkoda jest również zniemczonej szlachty i zniemczonych miasteczek. Ale rzecz główna: trwanie w Prusach Wschodnich wielkiej masy ludnościowej polskiej, zajmującej całe ich południe i stanowiącej naturalny obóz stronników Polski wewnątrz tego kraju, a mogącej z łatwością wszystkie brakujące warstwy społeczne na nowo z siebie wyłonić — trwa nadal, tak, jak za czasów Jagiellończyka i Zygmunta Starego i Jana III. A przytem—dzisiaj—żywiołowy pęd ludnościowy polski na północ i zachód rokuje tu nadzieję na nowe ludnościowe zdobycze.

Zniemczyła się pozatem ludność staropruska. Ale wszak już pod koniec rządów krzyżackich, — nie mówiąc o czasach aż po wiek XVII, gdy ostatnie jej resztki wymarły,—nie posiadała ona żadnego politycznego znaczenia.

Utrwaliły się wreszcie, nawiązane w w. XVII, polityczne węzły Prus Książęcych z niemieckim zachodem (z Brandenburgją, a następnie z Rzeszą). Ale polityczne węzły, nie wzmocnione włączeniem terytorjalnem, geopolitycznem, stanowią raczej węzeł formalny, łatwy do zerwania.

To też mimo niewesołych pozorów, niepodobna jest sprawy wschodnio-pruskiej uznać dla nas za przegraną. Jeśli pięciowiekowe prowizorjum (zamienione nawet w pewnej chwili na niekorzystne dla nas rozstrzygnięcie o pozorach trwałości) nie zdołało zniweczyć ani jednego z elementów, sprzyjających rozstrzygnięciu tego prowizorjum w duchu dla nas pożądanym, musi się stwierdzić, że nieprzyjazne nam procesy dziejowe pracują tu wyjątkowo powoli, i że najwidoczniej natura stosunków sprzyja tutaj raczej nam.

Sprawa, której przewlekanie się przez pięć stuleci nie popsuło w sposób wyraźny, jest widać na działanie czasu odporna. Nawet jeśliby miała jeszcze czas dłuższy na załatwienie poczekać — nie będzie jej można uważać za bezpowrotnie przegraną.

Gdy Polak zajrzy do Wrocławia, Lignicy, Głogowa, Oleśnicy, Brzegu, ogarnia go rozdzierająco bolesna świadomość, że patrzy na cmentarzysko części ojczyzny i że ma przed sobą coś, co zginęło bezpowrotnie i na wieki wieków. Bo nawet odzyskanie polityczne tamtej ziemi — gdyby kiedykolwiek w dalszym toku dziejów stało się możliwe—nie odrodziłoby tego, co tam już umarło. I conajwyżej z innego, z innych stron przyniesionego siewu nowe życie polskie na popieliskach by się tam mogło wytworzyć.

Uczucie Polaka w Prusach Wschodnich jest zupełnie inne: widzi on, że poniósł tam ciosy dotkliwe, że stracił tam ogromnie wiele, — ale wie też, że nic tam nie przepadło bezpowrotnie, i że wszystko, co tam miał, może jeszcze odzyskać i odnowić, tak jak się odnawia płomień z niewygasłych jeszcze, żarzących się węgli. I czuje pozatem — że czas płynie tam ogromnie powoli i z zadawaniem nowych strat i ciosów się nie śpieszy. I że zadatki odrobienia tych strat są duże i trwałe.

Główną nutą w uczuciach Polaka w Prusach Wschodnich jest — poczucie potrzeby cierpliwości w czekaniu, oraz twarda, wolna od zdenerwowania i pośpiechu świadomość, że nic tu dla nas nie jest na zawsze stracone.

JĘDRZEJ GIERTYCH

LUTER-ROUSSEAU

ORAZ OBECNI PISARZE PROTESTANCCY WE FRANCJI

JEŚLI ci z pośród wyznawców „religji reformowanej“, którzy nie ulegli deprawacjom, do jakich nieuchronnie wiedzie słabsze umysły anarchizm luterański, wypierają się protestanta znieprawionego—Andrzeja Gide'a, to również z niemniej żarliwem oburzeniem odżegnują się oni od Filozofa Genewskiego.

Uczynił to p. René Gillouin w książce p. t. „*Le Destin de l'Occident*“. P. Gillouin, upatrując słusznie w kulcie Jana Jakóba Rousseau przyczynę większości naszych niedomagań społecznych, przeciwstawia jego doktrynie doktrynę protestancką. Twierdzi, że narody, które skorzystały z dobrodziejstwa Reformacji, mogły dzięki temu zaoszczędzić sobie Rewolucji.

Czyż w twierdzeniu tem nie mieści się przyznanie, że Reformacja i Rewolucja powstały z tego samego ducha? Czyż nie mieliśmy prawa na tej podstawie wnioskować, że Reformacja była etapem po drodze ku Rewolucji?

Wypowiedziano to już niejednokrotnie. Autor „*Le Destin de l'Occident*“ wie o tem dobrze. Odpowiada on jednak, że t. zw. „Russyzm“ (*Rousseauisme*) nie jest dalszym ciągiem pierwszej Reformacji, lecz jest punktem wyjścia Reformacji drugiej, z pierwszą nie mającej nic wspólnego i bliższej raczej katolicyzmowi, niż protestantyzmowi.

P. Gillouin przypomina, że doktryna Russa opiera się na optymizmie, przyjmując jako aksjomat doskonałość naszej natury. Tymczasem religja protestancka jest przedewszystkiem pesymistyczna.

Nie zamierzamy wykładać tutaj historji religij.

Rozpatrujemy protestantyzm nie jako pierwotną, czystą doktrynę, lecz przedewszystkiem jako ruch społeczny.

Zresztą autor książki p. t. „*Le Destin de l'Occident*“ rozpatruje protestantyzm z tego samego punktu widzenia i dlatego dziwi nas, że p. Gillouin zdaje się nie dostrzegać konsekwencyj społecznych doktryny protestanckiej.

Jedno spojrzenie na historję i na środowiska bliższe jemu, niż nam, powinno go pouczyć, że wychowanie protestanckie prowadzi (zupełnie tak samo, jak Russyzm) do krańcowego indywidualizmu, będącego—jak słusznie sam twierdzi — największą plagą naszej epoki.

Kto bada przyczyny, ten widzi jasno, że protestancki dogmat predestynacji musiał stworzyć dusze, podążające wyłącznie za swemi skłonnościami, czyli innemi słowy, pozwalające rozkładać się swojej naturze. Rychło zresztą rozkład ów staje się niedostrzegalny dla wielu z pośród wyznawców religji, uważającej wszelką walkę duchową za wysiłek jałowy i bezskuteczny. Poczucie łaski służy im za pretekst do rozgrzeszenia najgorszych zniepraweń.

Czemuż tedy p. Gillouin udaje w rozprawie swojej, że nie dostrzega owej przewrotności, którą zresztą wytknął przy innej okazji Andrzejowi Gide?

Zarówno w dziełach J. J. Rousseau, jak w dziełach p. Andrzeja Gide'a napotykamy tę samą przewrotność.

Autor „Wyznań" był prekursorem Gide'a.

Niewątpliwie różnią się oni odcieniami. „Ludzie to nie jednolite bryły"— napisał Ch. Maurras. Pomimo jednak odmienności natur i talentów, u obydwu pisarzy odnajdujemy te same dążenia i te same myśli. Czytając niektóre stronice „Immoralisty" albo „Podziemi watykańskich", jesteśmy wprost prześladowani przez reminiscencje „Wyznań". Nie dopatrujemy się w tem naśladownictwa. Widzimy jednak zbieżność. Zbieżność owa nie jest bynajmniej czemś przypadkowem. Dwie natury o podobnie wyhodowanych duszach, intelektach i moralnościach, musiały się zetknąć. To było nieuniknione.

Obydwaj filozofowie, pomimo że oddzieleni od siebie stuleciami, mają ten sam stosunek do życia, podobne refleksje, podobne myśli.

Jeżeli powodzenia pism Andrzeja Gide nie można porównywać z owem istnem delirjum, w jakie Rousseau wprawił środowiska, najmniej przeznaczone do popierania idej, mających je unicestwić — to jest to skutek doświadczeń okrutnych, które stworzyły mentalność „konserwatywną" — jedną z najcharakterystyczniejszych inowacyj dziewiętnastego stulecia. Jest to niewątpliwie również skutek tego, że mniej wyrafinowane społeczeństwo nie potrafiło się już zdobyć na bezinteresowne entuzjazmy dla sztuki. Bądź co bądź jednak audytorjum, które się udało panu Andrzejowi Gide zgrupować, składem swoim wymownie świadczy o Russyźmie tego pisarza.

Jeden z młodych literatów, którego nazwisko i dzieła na zawsze pozostaną związane z nazwiskiem i twórczością Andrzeja Gide, uznał zresztą owo pochodzenie duchowe od Jana Jakóba Rousseau i wyraźnie je zadeklarował.

Filjacja myśli i sentymentu, zachodząca pomiędzy protestanckim Janem Jakóbem a dzisiejszymi pisarzami luterańskimi, została stwierdzona w rozprawie, którą pan Jacques de Lacretelle poświęcił autorowi „Przechadzek samotnych".

Nie chcemy tu dużo mówić o entuzjastycznym podziwie, żywionym przez autora książki p. t. „*A parte*" dla Jana Jakóba, ani też o istnem delirjum, z jakiem p. de Lacretelle rozprawia o „ja", zainstaurowanem przez Russa w literaturze.

Oddajemy głos samemu panu de Lacretelle:

„— Lubię go przedewszystkiem za jego „ja", które nie ma nic wspólnego z dowcipnem i mizdrzącem się „ja" świadków naocznych i pamiętnikarzy. „Ja" Rousseau'a — to pierwsze „ja" intymne, „ja" które stara się w każdym momencie zgłębić samo siebie".

Najnowsze rzeczy u Rousseau'a znajduję w niektórych stępach „Przechadzki piątej" oraz w tym fragmencie „Przechadzki drugiej", w którym Rousseau opowiada, jak odzyskał przytomność po wypadku w Clignancourt.

„Noc zapadała. Ujrzałem niebo, parę gwiazd i trochę zieleni. To pierwsze wrażenie było rozkoszne. Czułem swoje istnienie tylko dzięki niemu. Rodziłem się w tej chwili na nowo i zdawało mi się, że swojem lekkiem istnieniem napełniam wszelkie przedmioty, jakie spostrzegałem. Byłem całkowicie skupiony w chwili teraźniejszej. Nie przypominałem sobie niczego. Moje indywiduum nie odczuwało żadnego wzruszenia wyraźnego, któreby je wyodrębniało. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co się stało. Nie wiedziałem ani kim jestem, ani gdzie się znajduję. Nie czułem bólu, ani lęku, ani niepokoju. Patrzyłem na płynącą ze mnie krew, jakbym patrzał na strumień. Nie myślałem wcale o tem, że krew moja należy do mnie".

Ustęp powyższy wzrusza pana Jakóba de Lacretelle do głębi duszy. Jan Jakób Rousseau budzi w nim uwielbienie, graniczące z miłością.

Oprócz owej admiracji p. de Lacretelle odczuwa dla Jana Jakóba najgłębszą sympatję. Najdrobniejsze zwierzenia Rousseau'a wzruszają pana de Lacretelle bardzo mocno. Świadczy to o pokrewnem odczuwaniu i pojmowaniu życia. Obaj pisarze są egzotyczni. Obaj wszystko sprowadzają do siebie. Jacques de Lacretelle posiada protestanckie zamiłowanie do uogólniania własnych odczuć i do zakładania, na podstawie analizy własnej jaźni, fundamentów filozofji. Nie zadowala się on delektowaniem się rozkoszną sensacją, jaką mu sprawia odkrycie własnej natury w Janie Jakóbie Rousseau. Pragnie jeszcze być sędzią tego stanu duszy. Zachwala wszystkie dobrodziejstwa, jakie wypływają z niego dla ustroju społecznego.

Dzięki Rousseau'owi — myśli p. de Lacretelle— można będzie nareszcie poznać samego siebie. Proponuje tedy na nowo filozofję Rousseau'a jako remedjum na wszelkie cierpienia. Nie waha się oświadczyć, że ta analiza wewnętrzna pozwoli każdemu osiągnąć doskonałość, albo przynajmniej zbliżyć się do doskonałości. Czyni to z zaślepieniem, świadczącem o gwałtowności impulsów, każących mu współczuć i współmyśleć z Janem Jakóbem.

Pan de Lacretelle nie dostrzega wcale, że analizowanie siebie z tą miłością własną, z jaką to czyni Rousseau, prowadzi człowieka nieuchronnie na manowce fałszu. Człowiek, nie umiejący odwrócić oczu od samego siebie i rozmiłowany w najwstydliwszych skazach swojej istoty, lubuje się w mętnych marzeniach, które w oczach pana Jakóba de Lacretelle są wartościową, jasną analizą — do tej pory przez nikogo nie praktykowaną. Medytacjom świętych, analizom filozofów i moralistów, którzy oceniają własne postępki przez porównywanie ich z regułami ustalonemi, p. de Lacretelle nie waha się odmawiać doniosłości. Dla pana de Lacretelle szczerość człowieka wobec samego siebie, znajomość całkowita siebie samego, urodziły się dopiero dzięki Rousseau'owi—człowiekowi, który namiętności swoich nie kiełzał, nie chciał nic wiedzieć o niczem, poza samym sobą, i lubował się w opowiadaniu najróżniejszych swoich odruchów nerwowych.

Ustęp z Rousseau'a, zacytowany przez pana de Lacretelle i budzący w nim bezgraniczną admirację, jest nader mętnem opowiadaniem o sensacjach czysto zwierzęcych. Pan de Lacretelle przyznaje temu ustępowi więcej wartości, niż jasnym analizom psychologicznym moralistów i filozofów. Dla pana de Lacretelle jest to prawdziwa spowiedź — spowiedź, przy której pokorę zastępuje

rozkoszna sensacja opowiadania swoich grzechów umiłowanych, które przy okazji przeżywa się na nowo.

Powyższe charakterystyczne aspekty literatury protestanckiej są tylko wyrazem sposobu myślenia i odczuwania mniej lub bardziej świadomych uczniów Lutra. Podobnie jak jego samego, tak i jego synów duchowych nawiedza naprzemian to żarliwe pragnienie doskonałości, to znowu umiłowanie samych siebie, posunięte aż do lubowania się we własnych brakach i skazach.

Gdyby ktoś chciał poszukać, poza najbardziej satanicznemi objawami dramatu Lutra, klucza, pozwalającego dramat ów zrozumieć, to przekonałby się, że kluczem owym jest: pycha. Luter najpierw zbudował swoją pesymistyczną teorję o fatalności, kierującej naturą ludzką i losami ludzkiemi, następnie zaś, popadłszy w imię swojej doktryny w najhaniebniejszą deprawację, musiał nieuchronnie stworzyć potomstwo pokroju Andrzeja Gide'a.

Zarówno doktryna Lutra, jak „kazania" pana Andrzeja Gide'a oparte są na podziwie dla samego siebie i na rozmiłowaniu się w sobie. Podziw ów i owo umiłowanie skłania nieuchronnie człowieka do podążania za swemi instynktami i do gloryfikowania swoich błędów.

Luter pogarsza grzech swój bluźnierstwem. Przy każdej okazji wzywa na świadka Boga, żeby usprawiedliwić swoje czyny i przedstawić je — jako chwalebne.

„Chrystus się pochyla"—mówi Luter—„i pozwala grzesznikowi wskakiwać sobie na plecy, ocalając go w ten sposób od śmierci". „Cóż to za pociecha dla dusz pobożnych obarczać Go w ten sposób grzechami mojemi, twojemi, grzechami całego świata i widzieć Go dźwigającego wszystkie nasze grzechy". „Skoro ujrzysz, że grzechy twoje przylegają do Niego — będziesz wonczas wolny od grzechów, od śmierci i od piekła". „Chrześcijaństwo nie jest niczem innem, jak tylko nieustannem ćwiczeniem się w poczuciu, że cokolwiek byś zgrzeszył — nie zgrzeszyłeś, lecz grzechy twoje spadły na Chrystusa. Wystarczy uznać Baranka, który dźwiga grzechy świata, a grzech nie zdoła odłączyć nas od Niego, choćbyśmy w ciągu jednego dnia popełnili tysiąc porubstw i tyleż mężobójstw".

Widać z cytat powyższych, że Luter każe Bogu odgrywać poniekąd rolę wspólnika grzechów. Wspólnika, który wszystko uświęca.

Uczeń Lutra nie ma potrzeby walczyć z grzechem. Bóg go w tem wyręcza. Luteranin może się zadowolić wyżywaniem swojej jaźni. Może to uczynić z całą pogodą ducha. Z tem większą pogodą, że ciąży na nim fatalność.

Jacques Maritain stwierdza, że u Lutra wolno doszukiwać się źródła dwóch wielkich idej filozoficznych: idei zła radykalnego, które przejdzie do filozofji niemieckiej z Boehme'm, Kantem, Schellingiem i Schopenhauerem, oraz idei prymatu woli, którą narzucą filozofji niemieckiej Kant, Fichte i Schopenhauer. Pesymizm i woluntaryzm, stanowią, według Maritain'a, metafizycznie dwa uzupełniające się wzajemnie oblicza tej samej myśli.

Podobna koncepcja moralna musiała zrodzić anarchizm, którego rozum nigdy nie zdoła pohamować. Śledząc jednakże proces, który doprowadził Lutra do zbudowania religji woluntarystycznej — znajdujemy u jego początków ten sam niepokój, który miał być następnie poznany i wyeksploatowany przez p. Andrzeja Gide'a. Nie idzie tu bynajmniej o niepokój metafizyczny, czy intelektualny. Niepokój ów nie przypomina niczem niepokoju Pascala. Nie jest to bynajmniej trwoga, odczuwana w obliczu tajemnicy przeznaczenia. Nie jest to również cierpienie, znane świętym, płynące z niemożliwości osiągnięcia doskonałości. Nie jest to nawet niejasne poczucie niedoskonałości natury ludzkiej, torturujące nawet prostaczków. Nie jest to wreszcie nieokreślona melancholja, w jakiej się pławią ci, którzy zdają sobie sprawę z krótkości ludzkiego żywota.

Niepokój, który trawił serce Lutra, płynął z najbardziej ciemnych zaburzeń istoty ludzkiej.

Luter porzucił religję katolicką bynajmniej nie dlatego, że przekonanie zmuszało go do zniweczenia tego, w co nie wierzył, i do skonstruowania systemu, podyktowanego przez rozum, w zgodzie z prawdą i sprawiedliwością.

Porzucił religję dlatego, że zbuntowana jego natura nie mogła znieść dyscypliny. Wyszedłłz założeń destruktywnych i negatywnych, w dziele, które zbudował, i które uzupełnili jego następcy, widać zupełnie wyraźnie — jakie były prawdziwe jego pobudki. Ale natura Lutra była napiętnowana pieczęcią kapłaństwa. Apostoł zła odczuwał potrzebę apostolizowania i prawienia kazań. Odczuwał potrzebę narzucania własnych pragnień i apetytów — jako prawa powszechnego. Skonstruował tedy całą filozofję indywidualistyczną. Najpierw rozgrzesza się z odruchów namiętności. Wszakże natura nasza jest ułomna. Daremny trud tedy z nią walczyć. Nietylko daremny — ale nawet zdrożny.

Następnie począł odruchy instynktu gloryfikować. Podążać za swoją naturą — to dążyć za przeznaczeniem, o którem zawyrokował Pan Bóg. Skoro Bóg zesłał Jezusa Chrystusa na ziemię, żeby nas odkupić, to rzecz jasna, że sami o własnych siłach nie zdołalibyśmy nic wskórać. Grzech pierworodny uniemożliwia człowiekowi zbawienie. Wystarczy jednak człowiekowi przyjąć ten dar, jakim było zesłanie Zbawiciela, no i wierzyć, że dar ów jest skuteczny.

Ta sama filozofja, ktora doprowadziła Lutra do usprawiedliwienia wszystkich naszych grzechów i do uznania wszelkiej walki z niemi za bezskuteczną — musiała go doprowadzić do przekonania, że wszelkie zaparcie się samego siebie, wszelka ofiara jednostki na rzecz otoczenia — jest pomniejszaniem jaźni.

W trzy wieki później, w imię oficjalnie proklamowanych praw jednostki, zostały obalone wszelkie barjery i wszystkie prawa, niezbędne do ukształtowania człowieka.

Można było przewidzieć, jakie spustoszenia poczyni egocentryzm w sercach tych, którzy przyjmą dogmaty Lutra. Dzisiaj zaś znów widzimy w pismach Andrzeja Gide'a i jego następców, że te same ideje odżywają i pragną stać się podstawą dla etyki i estetyki nowoczesnej.

L. GERIN-RICARD

Wszystkim przyjaciołom, prenumeratorom i czytelnikom „Myśli Narodowej" serdeczne życzenia noworoczne składa

REDAKCJA

GŁOSY

KRYZYS LIGI NARODÓW wydaje się coraz głębszy i trwalszy. Nietylko większość t. zw. wielkich mocarstw znalazła się poza jej składem, nietylko ideologja, na której organizację Ligi oparto, przestarzała i w nikim nie budząca zainteresowania, nieodwołalnie już kwalifikuje się do składu zużytych rupieci, ale również i pomysły naprawy genewskiego związku, z jakiemi w ostatnich czasach wystąpiono, nie wnoszą żadnych cenniejszych pierwiastków i nie wróżą jakichkolwiek nadziei na przyszłość. Projekty Mussoliniego — jeśli wierzyć informacjom paryskiego dziennika „*L'Ordre*“ — ożywione są jedną wyłącznie myślą przewodnią: nadania paktowi Ligi takich form prawnych, które w tej chwili grze dyplomatycznej włoskiej zapewniałyby jaknajwięcej doraźnych ułatwień i korzyści. Zapewne, w mniemaniu Włochów idea taka wydaje się piękną i ze wszech miar zasługującą na realizację, w innych narodach wszakże nie może liczyć na wywołanie jakiegoś żywszego zaciekawienia.

W tych warunkach zadziwia doprawdy całkowita bezczynność dyplomacji naszej, nie korzystającej z położenia na terenie Ligi, aby raz wreszcie wyzwolić Polskę z krępujących i ubliżających jej suwerenności państwowej „traktatów o mniejszościach“. Oczywiście, więzy te są dziś jedynie formalne. Rzecz prosta, nie znalazłby się ani jeden Polak, tak dalece pozbawiony godności narodowej i poczucia państwowej niezależności, aby ośmielił się podawać w wątpliwość nasze prawo urządzania naszych wewnętrznych spraw (np. położenia żydów w Polsce) według naszej własnej wyłącznie woli. Rzecz prosta również, iż Liga Narodów niewątpliwie będzie dostatecznie taktowna, by uszanować naszą zrozumiałą drażliwość w tej dziedzinie i nie spróbuje wtrącać się w naszą wewnętrzną politykę i prawodawstwo. Tembardziej wszakże należałoby skończyć z tą nieprzyjemną fikcją, jaką po latach czternastu, w zmienionym całkowicie układzie stosunków światowych, stały się owe „traktaty o mniejszościach“, zwłaszcza, że podejmując akcję dyplomatyczną w tej sprawie, Polska broniłaby nietylko interesu własnego, oraz szeregu mniejszych państw Europy środkowo-wschodniej, również wspomnianemi układami skrępowanych, lecz przedewszystkiem moralnej, zdrowej zasady współżycia międzynarodowego, które jedynie na pełnem poszanowaniu udzielności poszczególnych państw może być pewnie i trwale oparte.

Przykro jest rzeczywiście, że przy tej rozległości terytorjum państwowego, przy tej liczbie mieszkańców kraju, tak mało inicjatywy okazujemy dotąd w zakresie polityki zagranicznej, tak mało wpływamy na kształtowanie się nowego porządku w Europie i w świecie. I przykro jest również, iż po szeregu lat polityki „mocarstwowej“ w dalszym ciągu należymy do nielicznej grupy państw, których stosunki wewnętrzne poddane są upokarzającej, międzynarodowej kontroli i w dalszym ciągu nie mamy śmiałości pokusić się o osiągnięcie tego nawet sukcesu, aby pod względem pozycji prawnej, w zestawieniu z innemi państwami, Rzeczpospolita Polska mogła dorównać nareszcie stanowisku, jakiem oddawna cieszą się np. Norwegja, Abisynja, Ekwador...

JAK SIĘ ROBI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

W UZUPEŁNIENIU informacyj o Słowniku Biograficznym, podanych w nr. 52, przypominamy teraz wskazówki dla piszących.

Otóż osoby, mające wejść do P. S. B., rejestruje się na kartkach w dwojakiej kartotece: rzeczowej oraz alfabetycznej, osobno przytem dla epoki przedrozbiorowej, osobno dla porozbiorowej.

Do końca r. 1932 kartoteka przedrozbiorowa rzeczowa objęła kartek 28.699. Przedrozbiorowa alfabetyczna ok. 15.000 k. (ok. 11.255 osób). Porozbiorowa rzeczowa 33.504 k. Porozbiorowa alfabetyczna 13.100 k. (ok. 10.152 osób). Naogół można przyjąć, że wyczerpano już 80—90% nazwisk, jakie powinny wejść do P. S. B. Redakcja uznała za możliwe przystąpić do zamawiania artykułów.

A teraz instrukcje dla piszących.

Każdy artykuł składa się z części głównej (życiorysu) i dodatkowej (przypisów). Wymiar oznacza w zamówieniu Redakcja; rozszerzenie jego dopuszczalnie jest za zgodą Redakcji. Przeciętnie 90% przypada na część główną, a 10% na przypisy.

Na treść życiorysów składają się następujące dane:

a) Tytuł: nazwisko, imię (względnie imiona, z podkreśleniem tego, którego N. stale używał), czas życia (np. 1857—1917);

b) czas, miejsce urodzenia, pochodzenie, względnie środowisko: szlacheckie (do połowy XVII w. herb), mieszczańskie lub włościańskie; imiona rodziców, nazwisko panieńskie matki; ewent. wiadomość o dalszych przodkach;

c) narodowość, jeżeli N. nie był rodowitym Polakiem lub nie uważał siebie za Polaka; wyznanie, jeżeli nie rzymsko-katolickie;

d) wychowanie i wykształcenie; domowe lub szkolne (niższe, o ile wpłynęło na bieg życia, średnie, wyższe);

e) bieg życia z uwzględnieniem przedewszystkiem czynów, prac i dzieł, ale także ważniejszych zmian miejsca pobytu, stosunków majątkowych, przeżyć wewnętrznych (przekonania, słonności) i przynależności do organizacyj;

f) stosunki rodzinne, zwłaszcza związki małżeńskie, należy omawiać, o ile wpływały one na bieg życia N.;

g) charakterystyka i rysopis, o ile są pozytywnie znane, będą dawane przy ważniejszych życiorysach z reguły pod koniec artykułu; odstępować od tego prawidła można, jeżeli wniknięcie w charakter wyjaśnia ogólny kierunek życia albo zwrot w rozwoju;

h) o dzieciach N. wspominać należy na końcu artykułu, ale tylko o tych, które albo osobno figurują w P. S. B., albo odegrały pewną rolę, lecz do P. S. B. się nie nadają;

i) o opinji, jaką N. zostawił, należy wspomnieć, jeżeli była wybitnie dodatnia lub ujemna, przytem bardzo słuszna, lub bardzo niesłuszna;

j) skutki działalności stwierdzać należy objektywnie, nie wdając się w ogólną ocenę moralną.

Jeżeli o danej osobie istnieje wyczerpująca monografja, to wystarczy ją zacytować z dodatkiem źródeł informacyj o istotnych danych, przez monografistę pominiętych; jeżeli jest kilka mono-

grafij, różnie oświetlających daną osobę, przytaczać je należy wszystkie. Jeżeli wyczerpującej monografji niema, przytoczyć wszystkie dzieła i wydawnictwa, z których zaczerpnięto treść artykułu, z podaniem stronic książek, o ile w nich niema indeksu, tudzież roczników i numerów pism. W miarę możności należy wskazać, gdzie znajduje się główny spis źródeł i literatury o danej osobie oraz bibljografja jej prac.

Przy podawaniu źródeł archiwalnych należy zaznaczać, czy autor artykułu z nich korzystał, czy tylko wie o ich istnieniu. Co do artystów plastyków należy podawać, gdzie znajdują się najwybitniejsze ich dzieła. W dziale ikonografji podawać tylko wiadomości o portretach, rzeźbach, medalach, sztychach, dawnych i rzadkich fotografjach. Cytować z reguły pierwsze i ostatnie wydanie książek.

Jak pisać? a) Pisać należy jaknajzwięźlej, bez frazeologji i bez nadużywania pustych słów w braku konkretnych wiadomości;

b) Opowiadać fakty, a nie roztrząsać źródeł ani też związków między danym faktem a sprawami ubocznemi;

c) Wyjaśniać przyczyny w rozwoju człowieka tylko wówczas, gdy są one pewne i znaczące;

d) Odróżniać wyraźnie fakty od hypotez (o ile te są wogóle w danym wypadku potrzebne).

e) Nie pisać stylem retorycznym, nie nadużywać *praesens historicum;*

f) Trzymać się porządku chronologicznego, o ile ważne względy konstrukcyjne nie każą odstąpić od tego prawidła;

g) Przy datowaniu najważniejszych faktów podawać dzień i miesiąc, pozatem tylko rok lub porę roku; więcej precyzji pożądane jest w życiorysach obszerniejszych oraz tych, które stanowią jedyne źródło informacji;

h) Polemiki są zasadniczo niedopuszczalne; jeżeli sprawa jest sporna, to należy wspomnieć o jej różnych oświetleniach w przypisach;

i) Przytaczać źródła dosłownie można tylko wtedy, gdy są bardzo charakterystyczne lub nie dają się sparafrazować; powoływać się na literaturę i źródła w tekście należy tylko, gdy chodzi o twierdzenie nowe lub sprzeczne z ustalonym poglądem.

Artykuł powinien być nadesłany w 3 egzemplarzach, pisanych na maszynie po jednej stronie, z marginesem conajmniej 6 cm. O ile autor odstępuje od tego prawidła, Redakcja sporządza odpisy na koszt autora. Artykuł powinien być wykończony w najdrobniejszych szczegółach, bez zarzutu pod względem pisowni i znakowania.

NAUKA I LITERATURA

LE PÈRE MYŚ

TAKIE żartobliwe, zabawne przezwisko nosił w kole rodziny i bliskich znajomych nie jakiś wyelegantowany, naperfumowany, trzpiotowaty „labuś" z epoki Krasickiego, ale wprost przeciwnie: w surowej regule żyjący zakonnik, świecący wszystkim wzorami cnót i pracowitości, przytem jeden z najmędrszych i najuczeńszych ludzi, jakich Polska wydała, głęboki filozof i mistrz pióra, sławny na całą Europę. Był nim O. Marjan Morawski, autor „Wieczorów nad Lemanem", zmarły *in odore sanctitatis* przed laty trzydziestoma, a obecnie uczczony obszerną monografją przez serdecznego przyjaciela i zakonnego towarzysza, O. Józefa Tuszowskiego T. J.[1])

Przeglądając tę książkę, napotykamy na rycinę, która w pewnej mierze tłumaczy dłuższe utrzymanie się wspomnianego, „wesołego" przezwiska. Mam na myśli fotografję, przedstawiającą O. Marjana jako rektora kolegjum i konwiktu w Tarnopolu (str. 211.). Widzimy na niej twarz dziwnie młodą, jakby młodzieńczą, o dziecięcem nieomal spojrzeniu Boć i to prawda, że człowiek ten, który, jak świadczy jego biograf, był już w ósmym roku życia ponad wiek swój rozwinięty umysłowo, odznaczał się do końca życia młodzieńczem i jasnem na świat spojrzeniem, młodzieńczą pogodą i werwą, jakiej nieraz dawał upust, zwłaszcza w swych listach polskich i francuskich. Przytem do końca pracowitego życia pozostała mu pewna dziecięca tkliwość i prostota w nabożności, która miała u niego cechy wspólne z nabożnością współczesnej mu św. Teresy od Dzieciątka Jezus. I może się nie mylę, sądząc, że dziełem, w którem najpełniej ujawniła się i piękna dusza i genjusz twórczy O. Marjana, jest „Pielgrzymka życia" — książka, zawierająca „rozważania na tle Dziecięctwa Jezusowego", a pełna szczerej dziecięcości w uczuciach i wyrazie.

Wiek dziecięcy i młodzieńczy bardzo zaważył na kolejach losu tego niezwykłego człowieka, silnie ukształtował jego serce, znalazł mocne odbicie w jego umysłowości. Ojcem ks. Marjana był Wojciech Morawski, syn referendarza stanu z czasów Księstwa Warszawskiego, człowiek wysokich zalet ducha, wychowany w podniosłej atmosferze umysłowej, patrjotycznej i religijnej, uczestnik kampanji 1831 r., kawaler *Virtuti Militari*, a na schyłku życia kapłan, apostoł polskości na Podolu i pocieszyciel skazańców z r. 1863... Po nim odziedziczył O. Marjan i swą gorącą wiarę i patrjotyzm i powołanie kapłańskie i skłonność do filozofji — i wreszcie tę głęboką pokorę, jaka „księdzu Wosiowi" nakazała pocałować w rękę rosyjskiego sołdata, nie chcącego dopuścić go do konającego więźnia.

W pamiętnym r. 1863 Marjan Morawski, bawiąc zagranicą, rwie się do powstania; wynikłe przeszkody, a następnie wieści o ojcu, pełniącym służbę kapłańską i obywatelską w cytadeli warszawskiej, budzą w chłopcu pod koniec tego roku inne postanowienie. Nagle głos wewnętrzny ukazuje mu drogę pracy kapłańskiej. Zachowany z tego czas jego memorjał młodzieńczy słusznie ks. Tuszowski stawia obok kart „Myśli" Pascala i „Wyznań" św. Augustyna. Ale głębię myśli i uczuć zawierają karty medytacyj pisanych podczas nowicjatu, którego datą końcową jest znów rok pamiętny: 1870 Karty te nie były przeznaczone do publikacji; były doraźnym diarjuszem młodego nowicjusza, chowanym przed innymi, — ale już w tych od ręki rzucanych myślach i postanowieniach jest mistrzowstwo stylu niebywałe: znać, że pisał je nieodrodny syn rodziny Morawskich, co tylu świetnych wydała stylistów.

Pierwsze wystąpienia publiczne młodego kapłana wiążą się nierozłącznie z dwoma ważnemi faktami historycznemi. Pierwszym z nich jest sobór watykański. O. Tuszowski z doskonałem znawstwem przedstawił nam historję zapomnianych już dziś polemik i wrzenia, jakie panowało w okresie tego soboru, nietylko we Francji i Włoszech, ale i u nas, zwłaszcza w Krakowie; tam właśnie debjutował swemi pracami O. Marjan, stając w obronie soboru. Drugi fakt — to klęska Francuzów pod Sedanem; w Poznaniu znalazło się 11.000 jeńców francuskich, którym potrzeba było pomocy i opieki moralnej i materjalnej. Organizowaniem jednej i drugiej zajął się z poświęceniem O. Marjan, harując od świtu do nocy po szpitalach i obozach. Rząd francuski dekoruje go za to krzyżem zasługi.

Nadszarpnął sobie już wtedy zdrowie młody kapłan; bardziej jeszcze je nadszarpnęła wytężona praca umysłowa, „od-

[1]) Ks. Józef Tuszowski T. J. — O. Marjan Morawski T. J. (1845 — 1901) Kraków. Wydawnictwo Księży Jezuitów 1932 Str. 444.

świeżana" zabiegami hydropatycznemi Zagrożony początkami suchot. O. Marjan rwie się do pracy apostolskiej wśród unitów podlaskich, prześladowanych i rusyfikowanych przez Moskwę; plan tej pracy został przyjęty przez czynniki kościelne, ale na misję ową powołano kogo innego: mistrza zakonnego O. Marjana, ks Jackowskiego. Jemu natomiast rozkaz władz zakonnych powierzył misję inną: utwierdzanie wiary w społeczeństwie polskiem, następnie zaś kierownictwo młodych dusz w nowicjacie w Starej Wsi oraz w dwóch konwiktach, tarnopolskim i chyrowskim, z których drugi został przed pół wiekiem założony z funduszów uzyskanych ze schedy rodzinnej O. Marjana.

Data owej fundacji jest znów ważną w życiu niestrudzonego i ofiarnego kapłana. W r. 1883 staje on na czele powstałego wówczas „Przeglądu Powszechnego", którego redaktorem naczelnym był niemal do końca życia. Odtąd zaczyna się okres wspaniałej pracy literackiej i naukowej O. Marjana, której koroną są trzy wspaniałe dzieła: „Celowość w naturze", „Świętych obcowanie" i „Wieczory nad Lemanem". Ale na nich nie wyczerpuje się twórczość pisarska redaktora „Przeglądu". Z artykułów, w piśmie tem zamieszczanych, złożyła się książka „Podstawy etyki i prawa" pozatem jest i wiele takich, które doraźnym poświęcane sprawom nie weszły do żadnego cyklu. Nie stracił aktualności — może na niej dziś właśnie zyskał — artykuł o klasycyźmie w szkołach średnich; nie przestarzeją się artykuły o Renanie, o „Spowiedzi" Lwa Tołstoja, o Sołowiewie, stojące na wysokości tej samej, co słynny list Sienkiewicza o Zoli. Polemika z Witkiewiczem o istocie i celach sztuki, acz zawiera mnóstwo spraw nieprzedawnionych, zrozumiałą się nam dzisiaj staje dopiero na tle ówczesnych prądów i zdarzeń, słusznie więc ks. Tuszowski daje do niej obszerny komentarz.

Wspomniane wyżej dzieła filozoficzne — a dodać do nich należy „Filozofję i jej zadania" — spowodowały ofiarowanie O. Morawskiemu katedry filozofji na wydz. teologicznym uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie jako zasuszony w swej wiedzy uczony specjalista, ale jako człowiek pełen życia prowadzi O. Marjan swą działalność profesorską. Wykłady jego mają w sobie coś z natchnionej improwizacji; nie są przeładowane cytatami i tradycją, — owszem, im głębszy jest w nich poziom wiedzy, tem przystępniej stara się przemawiać prelegent do swych słuchaczy, czarując ich bezpośredniością swego słowa, a podbijając serca serdecznością. Nietylko wśród duchownych alumnów, ale i wśród świeckiej młodzieży miał tłumy uczniów i wielbicieli. Obok pracy naukowej i literackiej praca społeczna, praca popularyzacyjno-oświatowa, apostolstwo dnia codziennego — to była treść życia tego profesora i dziekana krakowskiej wszechnicy.

„Duch-ci ochoczy, ale ciało mdłe"... Zdrowie, oddawna wątłe, musiało w tych warunkach bardziej jeszcze się naderwać. Ale nawet w czasie kuracyj, na które przemocą wysyłali go przełożeni, O. Marjan nie próżnuje. Tworzy zręby dzieła o „Świętych Obcowaniu", rzuca wspaniałe, pełne trafnych i żywych spostrzeżeń, wrażenia z podróży; prześliczny „List u stóp Sfinksa" pisany, może się nieomal mierzyć, analogicznym listem Sienkiewicza, do którego zresztą nawiązuje. Podróż na Wschód opisuje ks. Tuszowski dokładnie i żywo na podstawie własnych wspomnień, gdyż był w owej podróży towarzyszem ks. Morawskiego.

Aż wreszcie i kuracje nie pomogły. Prześliczny poemat, pisany w Zakopanem, p. t. „Niebo nocne a dzienne", jest jakoby zapowiedzią tego nieba, do którego było śpieszno spracowanej duszy O. Marjana. Ostatnie jego pisma tchną coraz to większym, żarliwszym i głębszym mistycyzmem, coraz wyraźniejszem odczuwaniem bliskości Boga.

Praca ks. Tuszowskiego ma pełną wartość literacką i naukową. Napisana płynnie i potoczyście, może tylko tu i ówdzie można było skrócić stosowane *per analogiam* cytaty z Danta czy innych poetów. Materjały źródłowe wyzyskane zostały wzorowo: obficie i sumiennie; czerpał je autor z archiwów bądź zakonu jezuickiego, bądź rodziny Morawskich W tych ostatnich archiwach ukrywa się jeszcze niejeden zabytek, którego ogłoszenie oddałoby wielką przysługę zarówno naszej literaturze jak i dziejopisom naszym. Ale dochodzą nas wieści, że istotnie przygotowano już do druku pamiętniki Kajetana Morawskiego oraz pisma Konstancji Morawskiej, a w projekcie jest i napisanie szkicu biograficzno-literackiego o luminarzu polskiej nauki: Kazimierzu Morawskim.

J. B.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Kornel Makuszyński dostarczył na gwiazdkę 1933 trzy książki: 1) zbiór fejletonów dla dorosłych dzieci p. t. „Spiewający djabeł" (Lwów u Jakubowskiego), 2) powieść dla młodzieży „Skrzydlaty chłopiec" i 3) bajki „Przygód Koziołka-Matołka część druga—dla małych dzieci" (obie u Gebethnera i Wolffa). Autor ten wynalazł jeszcze we Lwowie eliksir popularności, którego tajemnicę ukrył w swoim talencie, a co jest tajemnicą talentu, tego nikt nie odgadnie. Zacząwszy od poezji, którą się praktykuje dla pewnego kółka, rozszerzył swe kręgi przez powieść, aby, oswoiwszy się z prozą, przejść do fejletonu. To, że pisze dla dzieci, świadczy o przezorności, jakby kto oszczędzał na starość. Makuszyński, na emeryturze będąc, żyć będzie w dorastających pokoleniach aż do późnej ich starości wspomnieniem miłych książek z pod choinki. To lepsze, jeśli chodzi o nieśmiertelność, niż Akademja literacka.

W założeniu pism Makuszyńskiego leży zasada: dla wszystkich. Autor bowiem nie walczy, nie można być mu przeciwnym. Kwestje jego są bezsporne, a zadaniem jego jest afirmować. Używa zaś do tego celu niezawodnej metody, mianowicie wymierzania rzeczy miarą uczuć sympatycznych. Z każdą rzeczą nas pojedna przez wydobycie z niej humoru, lub z nas tkliwości, wątpliwe miejsca zagadując kalamburami, w których wszystko koziołkuje tak, że nie można prawdy rozpoznać. Żeby zaś rzeczy małe wydawały się odświętniej, Makuszyński ukazuje nam je przez powiększające szkło swego entuzjazmu. Sekretem jego działania jest to także, że nigdy nie zostawia przedmiotu sam na sam z czytelnikiem, zawsze jesteśmy we troje; zawsze autor potrafi nas sobą zainteresować; można przedmiotu raczej nie zobaczyć i nie pojąć, ale zostaje nam w pamięci sam pryzmat, to znaczy autor. Taki rodzaj talentu, ten rodzaj popularności. Operując ciągle pryzmatem serca, doprowadził je w powieści i fejletonach do franciszkańskiej wyłączności: serce staje się jedynym sposobem widzenia świata, a może jedyną ucieczką od świata. Nie przypadek zrządził, że w ostatniej książce motyw św. Franciszka i ptaszków tak wydatną srebrzy się nicią.

Czytelnik z upodobaniem powierza się autorowi, czy go prowadzi od świata do zamkniętego (choć i tu są kibice) kółka brydżowego, czy na świat, gdy wiedzie go z sobą do Włoch lub nad Bałtyk. Nigdy nie straci: rzecz samą jeszcze sprawdzi, jak ona będzie wyglądała bez szkieł Makuszyńskiego, ale co użył w towarzystwie tak wesołem, to mu zostanie na zawsze.

O książkach dla dzieci, niech mówią sami mali czytelnicy; każdy się z ich opinją spotyka. Jest tutaj bardzo popularny. Trochę je nawet psuje, dogadzając ich upodobaniom imaginacyjnym do nieprawdopodobieństw. Naraża się na zatarg z wychowawcami, aby tylko zdobyć serca dzieci. Wszystko jest w tych książkach nieprawdopodobne, to jedno jest ścisłe, że są popularne i rozchwytywane. (W.)

*

Księga pamiątkowa „Z murów św. Katarzyny", wydana nakładem byłych wychowanków gimnazjum przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu, zawiera rozprawy Jana Ptaszyckiego: „Polonistyka w gimnazjum męskiem", i „Kościół św. Katarzyny jako twierdza polskiego życia kulturalno-oświatowego w latach 1916 — 18". Obecnie rozprawy te zostały wydane w osobnych odbitkach. Autor snuje w nich swe wspomnienia o dążeniach kolonji polskiej, a szczególniej o uczuciach młodego pokolenia, które dzięki sprzyjającym, w pierwszych latach wojny, warunkom zrealizowało powołanie do życia „Towarzystwa miłośników historji i literatury", a następnie utworzenie Wyższych Kursów Polskich, „uczelni, stojącej na poziomie uniwersyteckim i umożliwiającej po raz pierwszy szerszym sferom kolonji słuchanie wykładów polskich z poszczególnych dziedzin wiedzy". Wojna zgromadziła w Petersburgu znaczną ilość uczonych polskich, a zarząd parafji kościoła św. Katarzyny udzielił w budynkach parafji miejsca dla zorganizowania i prowadzenia wykładów

naukowych. Ofiarność finansowa Polaków, i stałych mieszkańców Petersburga i przyjezdnych, wspomogła to przedsięwzięcie, tak, że Kursy uzyskały trwałą w tym czasie podstawę bytu. Wdzięcznie wspomniał o tej pracy Zjazd wychowanków i wychowanek gimnazjum, który w r. 1927 odbył się w Warszawie. (A. W.)

*

„Almanach Leśny", rocznik personalny administracji lasów państwowych na r. 1933 (wydany w Warszawie nakładem Spółki Wydawniczej „Prasa Drzewna—Rynek Drzewny"), zdawałoby się, może być lekturą wyłącznie urzędników zainteresowanych osobiście. Tymczasem zawiera wiele danych o znaczeniu ogólniejszem.

Eksport drzewa w ostatnim roku wynosił 20 % całego eksportu Polski, tak że drzewo z lasów państwowych i prywatnych zajmuje trzecie miejsce w naszym bilansie handlowym. Naogół lasy zajmują 23% powierzchni państwa, a w tem lasy państwowe jedną trzecią. Dyrekcyj lasów jest dziewięć: w Białowieży, we Lwowie, w Łucku, Poznaniu, Radomiu, Siedlcach, Toruniu, Warszawie i Wilnie, podzielonych na 419 nadleśnictw. Obowiązki służbowe sprawują pracownicy różnych hierarchij i kategoryj tego ogromnego i skomplikowanego aparatu. Dygnitarze, urzędnicy różnych stopni, oficjaliści do gajowych włącznie, kierownicy drużyn, robót brakarskich, terpentyniarni, jezior i zakładów przemysłowych. Jak zróżniczkowany jest rodzaj pracy w zarządzie lasów, widać z rubryki zajęć inżynierskich, inżynierów meljoracyjnych, mierniczych i urządzania lasów. Nadto w obrębie dyrekcyj działają jako samodzielne jednostki organizacyjne: Zakład doświadczalny, parki narodowe, tartaki, zarządy kolejek leśnych, gospodarstwa rybne, rolno-hodowlane i łąkowe.

„Almanach" nadmienia o tem „i o specjalnych funduszach" nawiasowo, obok na dwustu kilkudziesięciu stronach tablic personalnych, nazwisk i stopni służbowych pracowników, a bez podania, obowiązującego w takim schematyzmie, rodzaju ich wykształcenia fachowego i ukończenia studjów w szkołach i akademjach leśnych, krajowych czy zagranicznych. Nie jest to chyba brak przypadkowy, gdyż zamieszczone na dziesięciu ostatnich stronach rysunki i wskazówki w kwestji umundurowania, bluz, płaszczów, czapek, kordelasów, mankietów, kołnierzów, guzików, gwiazdek i wogóle oznak służbowych urzędników i funkcjonarjuszów niższych, gajowych, dozorców, strażników i strzelców, bardzo drobiazgowo i plastycznie określają obowiązki w zakresie ich przepisowego wyglądu. O ile więc, jak w zarysie organizacji nadmienia wydawca, „stosunek służbowy funkcjonarjuszów ma charakter prawny", to i motywy zajmowania przez pracownika jego stosunku służbowego powinny być ujawnione, nie pozostawać tajemnicą władzy. „Almanach Leśny" wydany został pod względem drukarskim i graficznym starannie. Okładkę wykonał artystycznie malarz Glewiński. (A. W.)

*

Pragniemy zwrócić uwagę naszych czytelników na bardzo interesującą broszurę Bohdana Cywińskiego p.t „Kolejnictwo polskie w dobie kryzysu" (Warszawa 1932 r. str. 86), poświęconą krytyce naszej gospodarki kolejowej. Marnotrawstwo w wydatkach rzeczowych, nieopatrzna polityka personalna, brak planu w inwestycjach, wreszcie niewykorzystywanie źródeł dochodowych — oto w ogólnych zarysach zarzuty, stawiane przez inż. Cywińskiego. Jest to streszczenie ogólnikowe, poza nie trudno jednak wyjść w krótkiej notatce informacyjnej. Dla tego zaś z czytelników, kto się z temi zarzutami bliżej chce zapoznać, pozostaje jedyna droga — przeczytanie broszury. (J. P.).

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zagadnienie standardyzacji należy dziś do zagadnień bardzo dyskutowanych. Dla nas, jako kraju rolniczego, specjalnie interesujące jest zagadnienie standardyzacji artykułów rolnych. Dlatego bardzo ciekawa jest dlanas broszura, napisana przez p. N. Jasny'ego p. t. *„Die Standarisierung von Getreide"* (Berlin, *Institut für landwirtschaftliche Marktforschung* 1932 s. 151). Zawiera ona bardzo bogaty materjał faktyczny, dotyczący zagadnienia standardyzacji i jej realizacji w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Rosji i Niemczech. (J. P.)

FILM

STYLOWY: „Jennie Gerhardt", film amerykański.

W takich filmach na pierwszy plan, właściwie, wysuwa się zagadnienie scenarjusza. Nie jest to już, jak dawniej przeważnie bywało, pierwsza lepsza historyjka, służąca głównie za pretekst do puszczenia w ruch taśmy filmowej; nad treścią można się zastanawiać, i jeśli nawet fabuła nie rozwiązuje zadania w sposób zupełnie zadowalający, w każdym razie ma tę ambicję, że je sobie stawia. Zarazem wikła się rola filmowca, gdyż otrzymuje do wygrania, w obrębie ekranu, wartości nie tak łatwo mieszczące się na jego polu, lub nawet jego prawom oporne. Chodzi o tak zwane psychologizmy. Kwestję, którą można zrozumieć i odczuć, nawet głęboko, nie zawsze da się ukazać na ekranie tak, aby jej walory wizualne dorównywały treści pozawzrokowej. Ekran, w takich wypadkach, może uciekać się do symbolu, syntezy, porównania, aluzji, skrótu, by lapidarnością środków wyrazu plastycznego podeprzeć znikomą efektowność zewnętrzną kwestyj roztrząsanych. Tu dbałość reżyserska, przy montażu, zaznacza się wyraźniej w pierwszej połowie filmu, a całość staje się strawna dzięki dobrej obsadzie aktorskiej, przedewszystkiem Sylwji Sydney, w roli Jeunie. Ta aktorka, jedna z najlepszych, jakie posiada Ameryka, wyróżnia się najrzadszą wśród tych młodych istot cechą: pełnią człowieczeństwa. Z jej gry promienieje ciepło.

Ostatnio mnożą się filmy o podobnej treści. Bohaterką ich zwykle jest kobieta poświęcająca się, która wzamian nic nie otrzymuje od życia, lub prawie nic. W życiu mężczyzny przechodzi boczną ulicą.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. ZYGMUNT PLUCIŃSKI

DN. 15 b. m. zmarł w Poznaniu ś. p. Zygmunt Pluciński, jeden z najwybitniejszych, najbardziej zasłużonych przedstawicieli ziemiaństwa wielkopolskiego. Natura nawskroś żołnierska, odważna i otwarta, najszczęśliwiej zapewne czuł się w tym okresie swego życia, gdy w r. 1919 stanął w szeregu powstańców wielkopolskich, następnie armji wielkopolskiej, pod dowództwem gen Dowbora-Muśnickiego, który mianował go swoim adjutantem.

Również i później, w dobie powojennej szukał przedewszystkiem tych pól pracy politycznej czy społecznej, gdzie formy organizacyjne najbardziej zbliżone były do wojskowych, jak w b. Obozie Wielkiej Polski, w Sokole, w stowarzyszeniach b. kombatantów itd. Zwłaszcza w OWP. odgrywał rolę kierowniczą, jako członek Wydziału Wykonawczego i obożny Dzielnicy Zachodniej.

Należał do tych przedstawicieli starszego pokolenia, którzy do końca zachowują młodość ducha i najłatwiej im współżyć i współpracować z młodszymi. Nie dziw, że nad grobem Jego, przedstawiciel Związku Młodych Narodowców, p. Grott z Poznania, temi słowy zakończył żałobne przemówienie: „Odszedł i osierocił nas, Młodych, których do pracy narodowej rozgrzewał. Więc uczcijmy Jego pamięć, ślubując, że z przykazań Jego nie zatracimy ani źdźbła. Żegnamy Go okrzykiem: „Czuwamy!".

NOWE KSIĄŻKI

Dmowski Roman. Przewrót. Warsz. 1934. Skład główny w adm. „Gazety Warsz." Str. XII i 494. Cena 7 zł.

Rybarski Roman. Podstawy narodowego programu gospodarczego. Warsz. 1934. Dom Książki Pol. Str. 75.

Nowaczyński Adolf. Plewy i perły. Warsz. 1934. Str. 296.

Makuszyński Kornel. Śpiewający djabeł. Lwów 1934. K. S. Jakubowski. Str. 288.

Pomirowski Leon. Walka o nowy realizm. Warsz. (1933). Gebethner i Wolff. Str. 96.

Pomirowski Leon. Nowa literatura w nowej Polsce. Warsz. (1933). Geb. i Wolff. Str. 349.

Siedlecki Grzymała Adam. Miechowiec i syn. Powieść. Warsz. (1933).

Dygasiński Adolf. Beldonek. (Powieść). Wyd. IV. Wydawnictwo Wolertów. Nowowiejska 32. Cena 4 zł.

Zalewski Stanisław. Blok czerwono-błękitny. Warsz. 1933. Str. 287.

Stahl Zdzisław. Wstęp do polityki. Rozważania — materjały. Lwów 1934. Str. 116.

Kwartalnik Pedagogiczny. nr. 3—4 (1 październik).

Przegląd Powszechny. Zeszyt jubileuszowy 1883 — 1933. Kraków. Grudzień 1933.

OFENSYWA

PIĘKNO JAPONJI

Tokjo, 23 grudnia 1933.

CESARZOWA japońska powiła o godzinie 6 m. 39 syna. Wiadomość ta wywołała nieopisaną radość w całym kraju. Jest to pierwszy potomek męski pary cesarskiej, która miała dotychczas cztery córki.

Dziecko jest w prostej linji 125 potomkiem założyciela dynastji, która istnieje od VII wieku przed Chrystusem.

Wiadomość o przyjściu na świat następcy tronu została obwieszczona rykiem syren w dwóch tonach w odstępach jednominutowych. Z okazji przyjścia na świat następcy tronu odbędą się w całem państwie wielkie uroczystości. Premjer admirał Sait wygłosił przez radjo orędzie, w którem w imieniu całego narodu wyraził rodzinie cesarskiej hołd i wdzięczność.

* * *

Japonja wykazała według statystyki za rok 1933 niezwykły przyrost zaludnienia.

Przyrost ten wynosi 1.007.868. Co godzinę zatem przychodzi na świat w Japonji 249 dzieci. Ponieważ umiera tylko 134 co godzinę, przeto przyrost efektywny wynosi 115 na godzinę. Przeciętna zgonów spadła na poziom najniższy, jaki notowano od r. 1868.

Jeżeli taka jest przeciętna zgonów, jaki jest procent bezecnej, pansemicko-komunistycznej suggestji, powtarzanej z cielęcym kretynizmem przez prasę Arjogojów o nędzy i biedzie w Japonji?

* * *

Według ostatniego obliczenia urzędowego ludność miasta Tokjo wynosiła dnia 1 października 1933 roku 5 (pięć) miljonów 486.210. Cyfra ta oznacza, że liczba ludności podniosła się w ostatnim roku o 174.780.

Z ogólnej cyfry 5 miljonów przypada 2.591.000 na ludność żeńską a 2.894.000 na ludność męską.

Tokjo, stolica cesarstwa japońskiego, jest jedyną stolicą mocarstwową, w której ludność męska w tak wybitnym procencie przewyższa płeć słabą czyli niewieścią.

* * *

W r. 1933 zdecydowano się obok hymnu cesarskiego dać narodowi jeszcze hymn drugi, przed nadchodzącemi wypadkami światowej doniosłości.

Komisja złożona z artystów: pisarzy, muzyków i wojskowych przejrzała ostatecznie jeszcze 110 (sto dziesięć) tekstów muzycznych.

Wybrano definitywnie melodję i słowa z wieku X (dziesiątego) wedle ery chrześcijańskiej.

* * *

Japoński minister spraw zagranicznych, wicehrabia Hirohita zawiadomił ambasadora francuskiego dnia 20 grudnia 1933, że rząd japoński nie uznaje prawa Francji do Wysp Koralowych i uważa, że znajdują się one w sferze wpływów Japonji. Żąda zatem od władz francuskich usunięcia flag Rzeczypospolitej francuskiej z budynków i gmachów na Wyspach Koralowych.

Wyspy Koralowe znajdują się na Oceanie, który do roku 1933 nosił nazwę Spokojny (Pacific).

Co na to Blum, Basch *et Comp.*?

* * *

Cesarz Japonji przyjął ostatnio na specjalnej audjencji obywatela całkiem pospolitego, który atoli dał dowód przywiązania i kultu dla dynastji nawet jak... na Japonję niepospolity. Obywatel ten, artysta-malarz przez lat dwanaście (12) malował portret swego cesarza. Oryginalność polega na tem, że jako farb używał... własnej... krwi. W ciągu lat dwunastu dzień w dzień upuszczał sobie nieco krwi i malował.

Raz tylko musiał pracę przerwać na kilka tygodni, gdyż z powodu wycieńczenia poszedł do szpitala.

* * *

Tokjo, 9 listopada.

Dziesięciu oficerów marynarki, oskarżonych o współudział w zabójstwie premjera Inukai w 1932 skazano na kary więzienia od roku do lat 15-tu. Trybunał otrzymał przeszło miljon listów z prośbą o łagodny wymiar kary.

Przeszło tysiąc listów było napisanych własną krwią petentów.

W związku z procesem o zamordowanie premjera Inukai Trybunał otrzymał także dziewięć listów, proszących o najsłagodniejszy wymiar kary, a popartych dziewięcioma... odrąbanemi palcami.

* * *

Budżet Japonji na rok 1933/4 przewiduje 2111 miljonów jen rozchodów, w czem 487 miljonów na marynarkę, a 499 miljonów na armję, czyli razem 936 miljonów jen, to znaczy prawie połowa.

Według stanu posiadania marynarki wojennej, Japonja w r. 1936 będzie posiadała 9 wielkich okrętów bojowych (*super dreadnought*'ów) o łącznym tonażu 272.000, pięć awjomatek o tonażu 81.000 ton, 12 krążowników klasy A o tonażu 108.000, krążowników klasy B 17 o tonażu 100.500, torpedowców 79 o tonażu 105.000.

To są atoli cyfry tylko oficjalne.

* * *

W listopadzie b. r. wydano zakaz operowania sobie skośnych oczu, które to operowanie jakiś czas grasowało jako „moda“ dla nieodróżniania się od t. zw. Europejczyków.

* * *

Dopiero teraz nabrała pełnej aktualności tłumaczona na język polski i przystępna w handlu normalnym książka p. t.: „Za Chinami stoi Moskwa“.

Autor: Gustaw von Kreitner, b. dyplomata austrjacki, który kilkanaście lat przepędził w Chinach.

* * *

Armja i marynarka japońska dostały od niedawna bieliznę... jedwabną.

Lotnictwo japońskie posiada najlepsze spadochrony.

Ostatnio jeden z inżynierów wojskowych skonstruował śmigła samolotowe z drzewa... bambusowego. Normalnie śmigła wyrabiane są z orzecha, z mahoniu, z duraluminium, tego atoli Japończycy nie mają i musieli sprowadzać.

Propeller bambusowy kalkuluje się o 30% taniej od najtańszego. Nadto jest niewrażliwy na temperaturę i wilgoć. Tak klimat syberyjski jak i hinduski znosi znakomicie.

* * *

Wśród uroczystych świąt rodowych jest też i święto na intencję młodych chłopców, na pomyślność synków („Tango No-Sekku“). W przeddzień uroczystości chłopców kąpie się w wodzie, do której wrzucane są liście irysów. (Temperatura wody 30 C., 31 C., 32 C.).

W salonie rodziny wystawia się przybraną kwiatami broń po przodkach.

Nad domami, na długich prętach przymocowane sznury, a na sznurach papierowe, różnokolorowe, złotosrebrne karpie, które przy podmuchach wiatru unoszą się nad domami.

Karpie symbolizują przedsiębiorczość, ruchliwość, aktywność, inicjatywę, energję.

* * *

Torpedowce japońskie uzbrojone są w bomby specjalnej konstrukcji, która to konstrukcja domaga się żywego człowieka. W torpedzie tego typu zamykają człowieka, który wystrzelony jako nabój w locie precyzyjnie kieruje torpedą. Wynalazek z przed lat 30-tu obecnie udoskonalony.

Nie potrzeba chyba dodawać, że człowiek taki leci na pewną śmierć przez rozszarpanie na drobniuteńkie strzępy. Ochotnicy muszą się zgłaszać do tego rodzaju „poświęcenia“ się na żywą torpedę.

W przeciągu ostatniego kwartału r. 1933 zgłosiło się do tej „służby“ (jednorazowej) 1500 oficerów.

P. S. Niniejszem ostrzega się Polaków przed trującemi gazami kalumnij na Japonję i Japończyków, jakie z końcem roku 1933 zaczęto rozpuszczać ze wszystkich wytwórni komunistycznych na całą Europę wraz z przyległościami.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Przechodnie, w godzinach wieczornych znajdujący się na Krakowskiem Przedmieściu w okolicy Pałacu Staszica, zadziwieni są świetlistą reklamą neonową, widniejącą w miejscu, gdzie teatr Polski ogłasza zwykle tytuł wystawianej w danym dniu sztuki. Od tygodnia zgórą ogniste litery głoszą światu: TEATR POLSKI — NAD PRZEPAŚCIĄ...

Jako bilans półrocznej działalności dyrektorskiej p. Kadena-Bandrowskiego — doprawdy, rozbrajająco szczere wyznanie...

*

Autentyczne.

Nauczyciel zapytuje chłopca, co według niego znaczy wyraz: zaufanie.

Chłopiec nie umie nic powiedzieć, ale oczywiście podnosi rękę żydek:

— To jest to samo, co „ryzyko“.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro Tel. 9 87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.